

OŁOWIANY \$WIT



fabryka słów
W D A W N I C T W O



MICHAŁ GOŁKOWSKI

**OŁOWIANY
\$WIT**



**ILUSTRACJE
SZYMON RADOMSKI**

fabryka słów

LUBLIN 2013

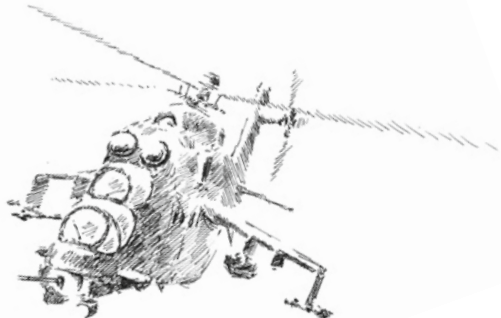
Kogóż to z nas tonący nie wioził wrak?
Któż z nas zaprzeczyć może – że ułomny?
Kogóż nie łudził oślepiiony ptak?
Kogóż w bezludzie nie wioł pies bezdomny?

A przecież wciąż przyciąga strefa ogrodzona
I ogrodzona – nie bez celu – chcemy wierzyć;
To nie my w Zonie – to nam odebrana Zona,
Nam ją niepewnym, ale własnym krokiem mierzyć,
Póki nadziei gorycz wreszcie nie pokona.

Dlatego mimo druty, wieże i strażnice
Tam chcemy dotrzeć, gdzie nam dotrzeć zabroniono;
Bezużyteczne śmieszne osiąść tajemnice,
Byleby jeszcze raz gorączką tęsknot płonąć,
Nim podmucha jakiś strzeżenie chwiejne potylicy.

Droga okrężna może być – i oszukańcza,
Może nas wiedzie szalbierz chciwy paru groszy,
Lecz lepsze to niż śmierć na wapniejących szańcach
U progu granic niewidzialnych i aproszy,
Gdzie ziewa żołnierz – tak podobny do skazańca.





Po zatopionych dawno droga to dolinach;
Pod płytką wodą – nieczytelne czasu grypsy:
Szlak po ikonach, rękopisach, karabinach,
Nad którym wiosło kreśli plusk Apokalipsy;
Nie po nas płacz, i nie po przodkach – płacz po synach.

Więc prawda, którą znaleźć mam – to pusty pokój,
Gdzie nagle dzwonią wyłączone telefony?
Serdeczna krew snująca w martwym się potoku,
Bezsilny gniew na obojętność Nieboskłonu,
I magia słów, co chronić ma od złych uroków?

Więc prawda, którą znaleźć mam – to stół z kamienia,
Z którego przedmiot modłów spadł – nietknięty dłonią?
W stukocie kół transportu – Aria Beethovena?
Bezdenna toń – a nad bezdenną tonią
Twarz własna – co przegląda się w przestrzeniach?

Z tonących – komu los nie zesał tratw?
Z ułomnych – zdrowia nie przywrócił – komu?
Gdy oślepiiony ptak odnalazł ślad
I pies bezdomny siadł – na progu domu...

Jacek Kaczmarski – „Stalker”

**Dla mojej pięknej Muzy,
bez której nie byłoby S.T.A.L.K.E.R.a po polsku**

Mleczarnia



Naciskam włącznik latarki – żarnik LED zalewa stusiedemdziesięciolumenowym snopem trupio sinego światła fasadę budynku. Przez chwilę spoglądam w oczodoły okien, lustrując wnętrze w poszukiwaniu ruchu. Nic. Puszczam przycisk, ciemność znowu opada granatowoszarą zasłoną, a ja zamykam oczy, bo przez kilka minut i tak będę ślepy; zamiast tego koncentruję się na doznaniach słuchowych – wolałbym, żeby ta nagła iluminacja w środku nocy nie przyciągnęła uwagi nikogo, kto mógłby być w pobliżu. Nikogo albo niczego.

Noc w Zonie jest zupełnie inna niż na Dużej Ziemi. Tutaj nie ma żab ani komarów, nie ma puszczyków i świerszczy – tylko cisza dzwoni w uszach, cisza świata, który zdążył za ludzkiej pamięci umrzeć już dwa razy,

w osiemdziesiątym szóstym i dwadzieścia lat później, już w nowym millennium. Tutaj tylko wiatr bezustannie szeleści żółknącymi liśćmi i skrzypi zawiasami nie-domkniętych na wieczność okien, świszczę w pustych, zimnych izbach zawilgoconych chat i pokrytych odłóżką farbą klatkach schodowych opuszczonych blokowisk. Tutaj nie czekają psy i nie marczą się koty, a każdy dźwięk może oznaczać niebezpieczeństwo. Ale teraz wokół mnie jest tylko i wyłącznie martwa cisza.

Otwieram oczy, rozglądam się. Dobrze. Rozróżniam kontury potrzaskanych stolików i rozbebeszonych szafek na archiwa, z których białą kaskadą wysypały się kiedyś karty produkcji. W myślach raz jeszcze sprawdzam, czy mam wszystko, co może przydać mi się w środku. Tak. Powstrzymuję się siłą woli, żeby nie przeładować jeszcze raz mojej wiernej strzelby – to zupełnie jak z biegiem w samochodzie, na światłach: niby człowiek wie, że ma wrzuconą jedynkę, ale dla pewności chce nacisnąć sprzęgło i raz jeszcze sprawdzić... Durny odruch. Przez mniej istotne nawyki niejedną w Zonie kości złożył, i niejedną złożył jeszcze – *Zbawiciela* repetowałem po ostatnim strzale do psów, tyle jeszcze pamiętam. Próbuję kciukiem bezpiecznik. Odbezpieczony. Mimo wszystko warto sprawdzić. Rozglądam się ponownie po ciemnym podwórku. Wsłuchuję w noc – cicho, spokojnie jest. Pora ruszać.

Wyslizguję się przez otwór po wyrwanym razem z futryną oknie, ostrożnie brnę przez wysoką po pas suchą trawę. Niby dobra taka trawa, bo anomalie widać z daleka – ot, chociażby tam, po lewej wypalony na metr w głąb gruntu krąg „żarnika”, kołyszącego się teraz fa-

lującym słupem powietrza – ale z drugiej strony może skrywać się w niej cokolwiek. Na przykład zarosnięty czarnobyłskim powojem obluzowany luk do studzienki kanalizacyjnej. Jeden nieopatrzny krok i lecisz cztery metry w dół, a uwierzcie mi – lepiej sobie po drodze kark skręcić, niż ocknąć się na dnie takiej studzienki z połamanymi nogami. Dokładnie tak zginął Lewy – szedł sobie i myślał o pierdołach, a w następnej sekundzie już leżał na dole i wrzeszczał z bólu. Żeby chociaż cicho był, to może byśmy zdążyli jakoś mu pomóc... a ten darł się, jakby mu za to płacili. Musiało boleć jak cholera, w to nie wątpię. Ale bardziej chyba bolało, jak dorwało go to coś, które na te krzyki wylazło z kanałów. Jaszczur opowiadał później przy wódce, że już prawie trzymał Lewego za rękę, patrzył mu w oczy... Ja z Łysym trzymaliśmy wtedy Jaszczura za nogi, on zwieszony w otchłani studzienki, nic nie widać, co robi ani co się dzieje... A Lewy krzyczy tylko, żeby go zabrać, i krzyczy, a potem nagle przestaje – i Jaszczur mówi takim matowym głosem: „Wyciągnijcie mnie, chłopaki” – no to ciągniemy, ale coś lekko idzie, patrzymy, a on sam. Zaglądamy do studzienki, a tam Lewego nie ma. Ot, był człowiek – nie ma człowieka. *Pomjaniem usopszych, rebjata.*

Tfu! Potrząsam głową, przykucam na chwilę wśród traw. Nie mam o czym myśleć podczas *chodki w Zonu*, tylko o trupach? Wsłuchuję się w noc, ale nadal tylko dzwoniąca cisza. Zastanawiam się chwilę nad rodzajem dzwonięcia... Nie, wszystko w porządku, to nie kontroler sączący mi swoje myśli do głowy. Wiem, bo raz takiego spotkałem. Rozglądam się, ruszam dalej, ku kompleksowi Mleczarni.

Nie mam pojęcia, kto wpadł na pomysł zbudowania czegoś tak wielkiego na takim odludziu. Na starej mapie widać, że była tu kiedyś w pobliżu jakaś wieś, z której teraz zostało tylko kilka przegniłych zrębów chałup i murowany zewłok niegdysiejszego punktu skupu, pełniącego też rolę lokalnego sklepiku i szynku – ot, typowe sowieckie planowanie. Ale ta Mleczarnia... Na razie szedłem przez dwie ogromne blaszane hale, z których każda mogłaby spokojnie pomieścić nieduży samolot pasażerski, i to zarówno w poziomie, jak i w pionie, bo do obrosniętego „rdzawym włosiem” dachu musiało być z dziesięć metrów; obok nich długi rząd komórkomagazynów z podjazdem i rampą, wypełnionych zwojami folii aluminiowej, workami korków i skrzynkami pustych butelek; ale nawet z mojego poprzedniego punktu obserwacyjnego widziałem jeszcze schowany w krzakach po prawej parterowy budynek, przysadzistą stołówkę po drugiej stronie potrzaskanej asfaltowej drogi, okna piętrowego biurowca i główną halę produkcyjną. Gdzieś z tyłu musi jeszcze być kotłownia, której przekrzywiony, ceglany komin służył mi za punkt orientacyjny podczas wieczornego marszu w tę stronę. Kawał fabryki, jak na wiejską mleczarnię w środku niczego – szczególnie że na mapach z osiemdziesiątego szóstego zaznaczony był tylko jeden główny budynek. No cóż, *pażywiom, uwidzim*, jak to mawiają Ruskie.

Przyczajam się za kawałkiem ogrodzenia z betonowych prefabrykatów, po raz kolejny lustrując spowitą ciemnością halę. Pusto... zbyt pusto trochę. Nie to, że bym narzekał, ale taki bezruch jest najbardziej denerwujący. Już stąd widzę rój drobnych gwiazdeczek przy

bliższych schodkach, prowadzących na rampę przy wejściu – „treser” kręci się spokojnie, czekając, aż cokolwiek zbliży się na tyle, żeby mógł smagnąć na odlew ektoplazmatycznym biczem i przeciąć ofiarę na pół. No, z tą ektoplazmą to teoria taka tylko, nikt nie wie, czym dokładnie „treser” ludzi zabija, ale komuś się to kiedyś skojarzyło z promieniami do łapania duchów z durnego filmu z lat osiemdziesiątych i tak już zostało. Fakt faktem, że z „żarnika” można się od biedy wygrzebać, „wiedźmi kisiel” tylko nogi upali, pod „ptasią karuzelą” można się złapać trawy i czasem przeleżeć, a „treser” od razu ubija na śmierć. Tędy się nie da, trzeba dookoła. Patrzą na otwartą, zapraszającą powierzchnię wyasfaltowanego placyku, na której na zawsze spoczął wrak jakiejś przedpotopowej ciężarówka, i coś mi tu nie gra. Wszystko dookoła popękane i zmurszałe, a ta ciężarówka jak nowa – w wypucowanych szybach odbija się połówka księżycy, błyszczący plastik podszybia. Opony dawno już zmieniły się w strzępy, pogięte felgi wrosły w asfalt, a nadwozie jakby wczoraj zeszło z linii produkcyjnej pod Charkowem. Nie, nie pójde ja przez ten placyk za żadne skarby. Nie pójde, i tyle.

Podbiegam truchtem do rogu budynku, wtulam się plecami w ścianę. Przynajmniej jedna strona bezpieczna – nie słyszałem, żeby budynki atakowały ludzi w Zonie, chociaż chodzą słuchy o jakichś drapieźnych grzybach, porastających cienką przezroczystą powłoczką ściany w głębokich podziemiach bliżej Sarkofagu. Ani ja blisko serca Zony, ani pod ziemią. Przesuwając się wzdłuż muru, zaglądam za winkiel. Czysto. Przesuwam się jeszcze kawałek dalej, aż do ziejącej w ścianie

dziury i widocznych dalej schodów, wiodących gdzieś w dół, w podziemia Mleczarni. Nie wiem, co tam jest, nie chcę wiedzieć, na pewno nie mam zamiaru tam schodzić – najchętniej profilaktycznie posłałbym w otwór dwunastkę grubego śrutu i poprawił granatem, ale na to mnie nie stać. Zamiast tego w dwóch dużych suszach przeskakuję obok jaskini, wciągam się na rękach na prowadzące donikąd podwyższenie ze schodkami i zamieram w bezruchu. Cisza. Skądś z daleka dobiega tylko ujadanie sfory ślepych psów – musiały chapnąć się z jakimś większym drapieżnikiem, może z prypec-kabanem. Walczę chwilę z myślami, potem przesuwam się kawałek po rampie i powoli podciągam na rękach, żeby zajrzeć przez okno do środka.

Nie widzę zbyt wiele. Nie tyle z racji skąpego oświetlenia, raczej dlatego, że nie bardzo jest na co patrzeć. Przede mną przeciwległa ściana niedługiego korytarza, po lewej znikającego w drzwiach obok rozbebeszonej skrzynki elektrycznej, po prawej otwierającego się na halę produkcyjną. Potężne kadzie na mleko na betonowych postumentach, płatanina porzewiałych rur i kabli elektrycznych wiszących pod sufitem, odłamki szkła i tynku na podłodze. Pusto. Jeśli wierzyć Łysemu, to gdzieś tutaj, uciekając przed żywym trupem, zrzucił plecak z wyposażeniem i towarem. Nie wiem, jak żywy trup może kogokolwiek śCIGAĆ – widziałem kilku tych nieszczęśników z wypalonymi mózгами, szwendających się bez sensu po Pograniczu i szczerze mówiąc, ciężko byłoby im wygrać bieg na setkę, bo nawet poruszanie się w tempie umiarkowanie ślimaczym sprawia im ogromne trudności, a na jakimkolwiek

trudniejszym terenie – chociażby nierównym polu – są praktycznie unieruchomieni. Tak czy inaczej, Łysy gdzieś tutaj się schował, wystrzelał cały zapas amunicji, a potem zrzucił sprzęt i po prostu ratował życie. Pożyjemy, zobaczymy. Mówił coś o jakimś podwyższeniu, więc trzeba będzie schodów albo drabin szukać, ale na razie to muszę do środka wejść.

Odsuwam się od okna, zostawiam w spokoju wspominki z kroniki towarzyskiej, idę dalej wzdłuż zewnętrznej ściany. Oho! – przede mną stalowe drzwi, a na podeście rozsypane wachlarzem łuski od AK. Jakiś czas tu leżą, bo lekko zaciągnęły się rdzą, ale ewidentnie ktoś się tu ostrzeliwał. Pociągam za rączkę – drzwi uchylają się z oporem. Otwieram je najpierw na całą szerokość, gotów rozwalić na strzępy cokolwiek, co może przez nie wybiec, wyskoczyć albo chociażby wystawić łeb, ale jest tak samo cicho i pusto, jak było. Zaglądam ostrożnie do środka... nic. Werandopodobne pomieszczenie zasłane resztkami jakiegoś chlamu, ściana po lewej i na wprost ślepa, po prawej dwa ogromne okna i zamknięte na głucho podwójne stalowe wrota załadunkowe. Hm, myślałem, że to wejście będzie, a to tylko przybudówka jakaś. Ciemnawo tutaj, ale we wpadającym przez szybki światło księżycy widzę zalegające na podłodze łuski. Będzie tego towaru z pięćdziesiąt sztuk... Strzelano najpewniej przez okna, tutaj pod kątem, a tu pewnie na wprost. Tyle amunicji wywalić – musiały mu nerwy ostro puścić, bo z kalibru siedem sześćdziesiąt dwa przecież *jeder sztos – ajn francos*, jak to mawiają Białorusini. Część kul poszła w ścianę budynku biurowego, część zrykoszetowała od przybudówek wokół komina. Ciekawe, co też...

Rzucam się na ziemię, przekręcam na plecy i wyciągam przed siebie żarłoczną gardziel lufy *Zbawiciela* – palec drga na spuście, ale nerwy jeszcze trzymają, więc bezsensowny strzał nie pada. Nic. Leżę tak dłuższą chwilę na bezdechu, celując w drzwi, potem wypuszczam obłoczek pary. Uff... Czuję, jak od adrenaliny trzęsą mi się kolana – dałbym sobie głowę uciąć, że czuję czyjś wzrok na plecach. Gdy podnoszę się powoli, widzę pomiędzy krzakami wybite okno budynku schowanego w chaszczach. Kiedyś prowadziła do niego niewielka ścieżynka, ale teraz ledwo ją widać spod gałęzi zdziczałych, zmutowanych krzaków głogu. *Czort pabieri...* Nie podoba mi się ten budynek i ta weranda. Wysłizguję się na zewnątrz, zamykam za sobą drzwi i ruszam dalej wzdłuż hali produkcyjnej.

W rogu pomiędzy niby-werandą a halą leży góra jakiegoś śmiecia – widzę kilka starych materaców, na pół rozwalone plastikowe beczki, jakieś worki... Teoretycznie to najkrótsza droga, można by tędy przeleźć, ale licho wie, co może być pod spodem, może cały ten śmieć ściągnął tu jakiś słaby „grawikoncentrat”. Na tyle słaby, że nie zabije, ale dość mocny, żeby trzymać mnie tu jeszcze długo po tym, jak gawrony wydziobią mi oczy. Trzeba pójść inną trasą... Po lewej mam wysokie okna Mleczarni, po prawej ślepy parter i poprzebijane oknami piętro budynku biurowego – w drugim od lewej oknie przelewa się i słabo błyszczą jakaś poświata, pewnie kałuża „wiedźmiego kisielu” złapała jakiś zbłąkany promień księżyca. Nie lubię tak między budynkami chodzić, oj, nie lubię... Po prawej mijam niskie, ciemne przybudówki kotłowni i pękaty, cegla-

ny komin z żelazną drabinką. Nie potrafię powiedzieć czemu, ale przechodzę na drugą stronę asfaltowej drożki, mimo że zieje tam ciemnością i zapachem zleżałego żużlu otwór wejścia, przez który widzę potężne piece. Po prostu przechodzę, i tyle – w Zonie kierujesz się albo intuicją, albo rozsądkiem, nie da się ich połączyć. To akurat była intuicja. Dosłownie siedem–osiem kroków i znowu wracam pod ścianę Mleczarni, zawijam lufą *Zbawiciela* za kolejny róg, wchodzę po schodkach na kolejną rampę... Co oni z tymi rampami? Tutaj okna są niżej, więc przeczołguję się pod nimi aż do drewnianych drzwi, podnoszę się, biorę za klamkę... Nożeż ty, też zamknięte! Hm, czyli głównym wejściem trzeba będzie. Ale nie ma tego złego – zaglądam ukradkiem przez okna do środka, widzę te same kadzie na mleko, tyle że z drugiej strony. Wyłożone białymi kafelkami ściany, przeszklenie zaczynające się półtora metra nad podłogą i ciągnące się do wysokości sześciu metrów, aż do sufitu – księżyc świeci, przynajmniej jest jasno, dobre i to. Wsłuchuję się w noc. Nic. Coraz mniej mi się to podoba. Schodzę schodkami na drugim końcu rampy, wyglądam zza rogu – ten sam placyk, ta sama prehistoryczna ciężarówka, tylko ja z drugiej strony fasady i bliżej wejścia. Trzy schodki, barierka, przycupuję w rogu przy czymś, co kojarzy mi się tylko ze strażniczą wieżyczką flankującą. Druga taka strzelnica patrzy na mnie z przeciwległego końca rampy – gdyby ktoś tam stał teraz z kałaszem...

Aż spinam się cały, podrywam broń do oka, gdy wydaje mi się, że widzę zarys twarzy w wąskim okienku. Serce wali jak młotem, ale biorę kilka głębokich wde-

chów, wyrównuję rytm – był czy nie był? Był... Wyraźnie widziałem głowę w hełmie i pociągłą twarz, zarysowaną głębokimi cieniami. Czyli jednak coś się tu kręci... Dzięki niech będą Czarnemu Stalkerowi, już zacząłem się bać, że to początki omamów. Ujmuję pewniej chwyt śrutówki i wkraczam przez otwarte na oścież drzwi do głównej hali.

Od razu omiatam spojrzeniem wszystko w zasięgu wzroku, skręcam w lewo, trzymając się blisko ściany, nieco zbyt szybko wchodzę przez przejście w ścianie działowej, popycham barkiem drzwi do strzelnicy, pod którą się czałem, wchodzę do środka, zamykam za sobą na zamek. Oddycham z ulgą. Stara kanciapa ciecia, okno na zewnątrz, drugie mniejsze na podobieństwo otworu strzelniczego wychodzi na rampę wejściową, przeszklona ściana do obserwowania wnętrza hali, jest tu nawet rozwalająca się kanapa i mały telewizorek ze śmieszną podwójną antenką. Na ścianie kalendarz z gołą babką i logo jakiejś nieistniejącej już białoruskiej firmy. Wyglądam przez szybkę na główną halę – pusto, ale coś słychać, jakby szuranie i niewyraźne mamrotanie pod nosem. Coraz głośniej i wyraźniej...

– Aaaalkeee, yyhiiiiii... – Zombi wyłania się spomiędzy kadzi. Za życia chyba żołnierz, może *desantnik* albo *morpiech*, bo wiszą na nim jeszcze resztki niegdyś porządnego uzbrojenia, teraz wygląda bardziej jak zaszuszony strach na wróble ubrany w za duże ciuchy. Same dziury i łachmany, kamizelka w nierozróżnialnym spod warstwy brudu i zakrzepłej krwi kamuflażu trzyma się na jednym tylko ramieniu, ale w suchych dłoniach nadal wierny AK-104 – ot, co znaczy sprzęt, służący właś-

cicielowi nawet w życiu pozagrobowym. Nie wiem, czy truposz mnie widzi – to chyba niewłaściwe określenie, bo jak martwy miałby WIDZIEĆ? Na pewno czuje, bo idzie w tę stronę, starając się skierować ku mnie lufę pordzewiałego karabinu. Odruchowo przypadam do ziemi, gdy umarłak podrzuca do góry automat, przepiśsowo opiera kolbę o biodro i repetuje broń...

Suchy szczęk uderzającej w pustkę iglicy. No tak, w sumie czego się tu spodziewać... Wychylam się zza parapetu i obserwuję, jak zombi nieporadnymi, sztywnymi ruchami wypina pusty magazynek, jakimś cudem chowa go do kieszeni kamizelki i wyciąga nowy, oczywiście też pusty. Po kilku próbach trafia w gniazdo zatraskiem, magazynek zaskakuje, truposz repetuje broń, celuje z biodra i po raz kolejny spuszcza iglicę na pusto. Kilka razy jeszcze naciska na spust, niezdarnie przykuca, udając manewry chowania się za przeszkodą, i wstaje, repetuje broń i znowu strzela bez naboju, podnosi broń i zaczyna zmieniać magazynek... *I śmieszno, i straszno*, jak to napisał pewien Rusek.

No dobra, ja tu się bawię w cyrk zombi, a ten coraz bliżej. Zrobić mi tu nic nie robi, bo drzwi solidne i na zamek, przez okno nie wlezie, bo szybki w mocnej, kratowej framudze mają po trzydzieści centymetrów na szerszej krawędzi, ale i ja stąd nie wyjdę – jak truposz uprze się stanąć pod drzwiami, to będę uwięziony. Ech, takie skutki włożenia do zamkniętych pomieszczeń. Rzucam okiem na spowitą mrokiem halę, starając się znaleźć najlepszą drogę, która ominęłaby chodzącego trupa, odryglowuję i otwieram drzwi, wyskakuję na zewnątrz.

– Aaaalkieeee, uuhaaahyyyy... – jęczy zombak, próbując sięgnąć mnie ręką, ale ja jestem już kawałek dalej, kłuząc między kadziami i próbując nie potknąć się o nic w ciemnościach. Dobiegam za róg, stoję, rozglądam się – czysto. Słyszę tylko bicie własnego serca i szuranie nóg zombi, próbującego pewnie zorientować się, gdzie też zniknąłem. No, mam chwilę fory, ale nie można...

– Aaaalii eeheoooo... – rozlega się gdzieś zza mnie. Tutaj już refleksy biorą górę – obrót na pięcie, przypadnięcie na kolano, ręce same podrywają się do góry, palec ciśnie na spust. *Zbawiciel* rzyga ogniem, dwanaście ośmiomilimetrowych wolframowych śrucin dosłownie podrywa zombaka w powietrze, roznosząc przy okazji na strzępy głowę w potrząskanym hełmie i praktycznie odrywając lewe ramię od tułowia, pusta gilza odbija się od ściany, gdy mechanizm powrotny sam wybiera i dosyła kolejny nabój do komory. Cholera! Błysk i huk wystrzału praktycznie ogłuszają mnie na chwilę, ściany jeszcze rezonują echem. No, to teraz każdy w promieniu kilometra wie, że tu jestem... Skąd on się tu wziął, do czorta?

Musiał stać tam, za skrzynką z bezpiecznikami w przejściu... Zombi najczęściej stoją zupełnie nieruchomo, jeśli nic się wokół nich nie dzieje, a ten musiał mnie zauważyć i się „włączyć”. Teraz już nie ma co się kryć, zapalam latarkę i omiatam snopem światła pomieszczenie. Jestem chyba na dośrodku do drugiej niby-wieżyczki, w której widziałem moją najnowszą ofiarę. Kilka szybkich kroków, zwrot w lewo, w prawo – tu czysto, tylko ten jeden tu był. Wyglądam przez okienko, dające przez jakieś minilaboratorium widok na ko-

rytarz hali – zdaje się, że widzę ruch za uchylonymi drzwiami, ale nie jestem pewien. Chwilę walczę z pokusą strzału na ślepo, ale szkoda amunicji – jeżeli są tu zombi, to ich na czysto trzeba, na pewniaka. Od ran postrzałowych się nie wykrwawia.

– Aaaałkee, yyy hheeeee... – słyszę pierwszego zombasa gdzieś ze strony, z której tu przyszedłem. Czyli jest jeszcze jeden. Przyklejam się plecami do ściany, wyłuskuję z pasa nabój, odcinam komorę nabojową, przełączam na ręczne przeładowanie, dopełniam magazynek. Trochę z tym roboty, mogli jednak się konstruktorzy bardziej postarać – dźwigienki, przełączniki, tu się przesuwają, tutaj wciska, eh... zachodu z tym sporo, ale opcja doładowań na bieżąco nieraz już się przydała. Zostanę na ręcznym, nie ma bata.

– Aaaaałke, uuut tyyy... – Zombak wyłania się zza rogu, podnosi broń i spuszcza iglicę na pusto. Ruszam prosto na niego, żeby mi nie skręcił przypadkiem, trzymając go na muszce, obchodzę szerokim łukiem i chowam się pomiędzy zbiorniki.

– Staaałkeeeee, uuuhaaayyyy... – rozlega się jego kolejny jęk. Wygadany, jak na trupa. Odwracam się plecami do okien, wychodzę na otwartą przestrzeń, rozglądam po hali – już wcześniej zauważyłem rodzaj półpięterka na środku, ale na razie nie wiem, jak się tam dostać. Został tylko jeden korytarzyk, w który nie wchodziłem – taki mały, ciemny, wąski korytarzyk z drzwiami po obydwu stronach, a ja takich wąskich korytarzyków nie lubię, oj, jak nie lubię... Ale jeśli mam się dostać na górę, to chyba właśnie tamtędy. Ale na pewno nie najkrótszą drogą, nie najkrótszą, bo na skró-

ty to do grobu tylko. Obiegam dookoła halę, słysząc gdzieś za sobą szuranie butów martwego specnazowca.

– Aaaaheeee, aaahiiy auuuhaaaa... – jęczy zombak, ale mnie w tej chwili uderza zupełnie co innego. Przebiegając koło drzwi wejściowych, zauważam okolone barierką schodki wiodące gdzieś w podziemia Mleczarni i kątem oka rejestruję ruch... Nie zatrzymując się nawet, naciskam spust, repetuję, posyłam drugą wiązkę grubego śrutu w dół zejścia, gdzie kłębią się jakieś niewyraźne kształty; łuski jeszcze toczą się po podłodze, gdy ja dopadam do rogu korytarzyka, rzucam okiem za siebie; w chmurze prochowego dymu z piwnicy zaczyna wyłaniać się trup z odstrzeloną połową głowy, w biegu walę w ciemne pomieszczenie po lewej, widzę w błysku płomienia twarz pokrytą plamami rozkładu, długim skokiem dopadam schodów, potykam się o coś miękkiego, ale w trzech susach wlatuję na górę, omiatam wzrokiem podest, przypadam na kolanie z dymiącą lufą *Zbawiciela* patrzącą od góry na kręcone schodki. Szit!

Cała Mleczarnia zaczyna ożywać jękami i szuraniem, niewyraźnym bormotaniem i odgłosami kroków. Niemalże mogę wyobrazić sobie chodzące trupy powoli wypełzające z podpiwniczenia, słyszę, jak bez sensu kręcą się w kółko i próbują wygniłymi oczami wypatrzyć, gdzie też mógł schować się ten żywy? Co najmniej dwóch przechodzi korytarzykiem na dole, ale żaden nie próbuje wchodzić po schodach. Ha, tutaj mogę im się odstrzeliwać do usranej śmierci... Tfu! Co za durne myśli mnie dziś nachodzą! Już raz dziś pozwoliłem zamknąć się w pomieszczeniu bez wyjścia, wystarczy. Nie zmieniając położenia lufy, oglądam się przez ramię,

próbując ocenić sytuację – i widzę plecak. Tak jak Łysy mówił, wisi sobie na uchwycie pod rurą, dokładnie pod tym oknem, przez które jego właściciel uciekł z budynku na dach – a ja myślałem, że stary pijus zmyślał o tej eskapadzie! Nie pozwalałem jednak, żeby euforia zmałała mi rozsądek, bo w takiej chwili najłatwiej o głupi błęd. Swoją drogą, każdy błąd jest głupi, mądrych nie ma... Sięgam do ładownicy na boku, wyciągam trzy naboje typu Breneka – tu nie ma co śrutu marnować, trzeba walić tak, żeby łby urywało, a grzybkujący ołowiany walec kalibru dwanaście idealnie się do tego nadaje. Doładowuję magazynek, licząc w myślach: cztery, pięć, sześć... Komplet. Tylko pamiętać, że pierwszy załadowany jeszcze śrut. Podnoszę się powoli, ale gdy widzę czubki głów zombi na hali poniżej, jednak przypadam do ziemi – lepiej, żeby mnie nie widzieli. Łażą w tę i we w tę po całym budynku, jęczą i beczą coś po swojemu, ale na razie chyba nie wiedzą, gdzie jestem, i tego się trzymamy. Zauważam coś jeszcze – bezkształtny, wyciągnięty tłumok pod ścianą. Kieruję na niego snop światła z lantarki i moim oczom ukazuje się nikt inny, jak sam Wańka. Wańka zwany Wstańką, słynny mordobijca i wielbiciel wielkokalibrowych rewolwerów, zaginiony bez wieści kilka tygodni temu. Ot, już wiadomo, gdzie głowę złożył. Podchodzę nieco bliżej – rozerwany kaptur, ciemnobury wykwit nad głową i rewolwer w martwej dłoni dość wymownie świadczą o tym, w jaki sposób Wańka zakończył żywot. Nieco dalej leży rzucony w kąt АК i puste magazynki... Rzeczywiście, cała podłoga zasłana jest wystrzelonymi łuskami, widać Wańka tutaj urządził sobie ostatni bastion. Wieczny odpoczynek...